№ 43. Warszawa, dnia (16) 28 Października 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu kop. 10.
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . „ 5.—
Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. w Poznaniu kwartal. mr. 3. na prowincyi 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu. Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy: Księgarnia Polska Wiktora Templowicza w Poznaniu Hotel Francuzki. Zmiana adresu kop. 15.

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

PREMIÓWKA.

Epizod z naszych czasów.

PRZEZ

A. K. S.

(Dokończenie).

— Zupełnie o to nie będzie chodzić z chwilą, w której pan zechcesz łaskawie wydać nam znajdujący się wraz z nią dokument, który stwierdza nasze prawa..

— Pozwoli pan, że mu przerwę. Bratanek mój zostawił u mnie papiery; zawartości ich nie znam. Jak tylko przyjedzie, zawiadomię go o tem co słyszę, a tymczasem pozwolicie mi panowie, jako gospodarzowi domu zwrócić uwagę, że wizyta wasza trwa już zbyt długo. Po tem cośmy sobie powiedzieli, niema tu miejsca ani na jedno słowo więcej. Żegnam.

Uspokoiwszy się po tej ostatniej wizycie, powrócił pan Joachim do swojego zwykłego monologu:

— Teraz zaczynam coś niecoś rozumieć, ale jeszcze chyba nie wszystko — reszty dowiem się wkrótce zapewne, ale że to ciekawe, to ciekawe. O wygranę chodzi — czy ta wygrana nie humbugh jaki przypadkiem? — chyba humbugh! Zresztą wyjaśni się to odrazu, byle tylko powrócił Staś. Co robi jednakże tamten — czy został z nim, czy jest w Warszawie? A może im się obu licho jakie w tej drodze trafiło. W każdym razie marną on sobie wysłużył biedak markę między kolegami swymi, skoro tropią za nim w sposób taki ubliżający. Dostało się i mnie nieźle przy tej okazyi, jeśli to wogóle nie jest panująca dzisiaj kanalijska maniera między młodzieżą. Miły Boże! coby też to już guzów do dania i do wzięcia było za moich młodych lat z tego powodu. Na tym punkcie nie poprawili nas, co prawda. Zmalało to i obniżyło się wyraźnie. W każdym razie jak na takich co mają zwalczać zasadę indywidualnego posiadania, to oni są dosyć przedsiębiorczy. Co jednakże znaczyć może ta premiówka? Bo ja jakąś jeszcze lukę widzę w tem powikłaniu. Tam się coś popsuło także między nimi—zresztą nie będę już myślał o tem wszystkiem, bo mi brak danych wyraźnie.

Nie dotrzymał sobie jednakże tego postanowienia, a nawet zamiast myśleć, pan Joachim mówił głośno w samotności, co było dowodem niezwykłego u niego stanu podniecenia.

— Czy oni sobie rozdali role—czy wychodzili na rekonesans koleją albo każdy na swoją rękę, w tajemnicy jeden przed drugim. Myślę, że oni są chyba w zgodzie. Najprzód przysłali tego Symplicyusza, ale ten okazał się za głupi i nie przyniósł im nic zaspakajającego, więc poszedł go poprawić drugi. Ten wyniósł odemnie już nie prosty niepokój, ale podejrzenie. Ach gdyby nie ten mój smarkacz, byłbym mu z gustem dał w ucho za to jego kantorowiczowskie wykrzywienie wargi. Do czego to jednakże przyszło. Taka maszkara przychodzi bezkarnie próbować twojej, biedny człowieku, drażliwości na punkcie honoru. Ale żem się wziął na munsztuk, to mi największy nieprzyjaciel przyznaćby musiał. Gdyby wiedział ma się rozumieć, ale wiedzieć nie będzie, bo to zresztą nie zaszczyt żaden to, co mnie spotkało. Ach ba! aleź korona to był ten trzeci. On u mnie w tym charakterze! Świat się wali. Oni tego szubrawca wysłali jako rezoluta ze świadkiem, aby mieć dowód prawny. Ani chybi, tylko to tak odbyć się musiało wszystko między nimi.

Możeby panu Joachimowi sprowadziło było sen to zadowolenie, jakie daje ludziom przenikliwym trafne odgadnięcie przez nich jakiegoś bardzo zagmatwanego powikłania, bo w istocie punkt po punkcie wywiódł on sobie cały tryb postępowania, jakim szli ci trzej ludzie po powrocie z drogi. Nie spoczęli ani na chwilę, nie stracili ani jednej godziny czasu—radzili i działali. Ale tego zadowolenia nikt przynieść nie mógł na pociechę podrażnionemu panu Joachimowi, i dlatego spędził on noc, jak nie można gorzej. Do piątej przewracał się po łóżku, i dopiero nad ranem usnął, a kiedy się około dziewiątej godziny przebudził, czuł się znużonym i rozstrojonym gorzej niż wczoraj, i Bóg wie jakie tam wybuchy marudztwa oczekiwałyby już dzisiaj na biednego Jakóba, gdyby ten na pierwszy z sypialnego pokoju dzwonek nie był wszedł z miną zupełnie siebie pewną i zadowoloną, i nie uprzedził odezwania się pańskiego krótkiem, ale za to pełnem znaczenia:

— Młody pan powrócił.

— Kiedy?—zawołał pan Joachim odrzucając kołdrę.

— Dzisiejszym pociągiem o 6 rano.

— Jest w domu?

— Śpi. I pan Michał przyszedł z nim z kolei i śpi także na kanapie.

Kręcił się pan Joachim koło drzwi bratanka, uchylał je, zaglądał, mruczał gderliwie na ospalstwo i niedołęstwo młodzieży dzisiejszej, a wreszcie nie mogąc dłużej wytrzymać około jedenastej wszedł do pokoju i zabrał się energicznie do budzenia raz jednego, to znowu drugiego śpiocha, gdyż obaj na żaden sposób trząsaniem i głosem do przytomności przyprowadzić się nie dawali. Nakoniec jednak powiodło mu się; ocknął się pierwszy Stanisław, ale rozmowa rwała się i kulała, dopóki Kozera nie wziął w niej udziału czynnego. Oczywiście Stanisław nie wiedzący nic z tego, co zaszło pod jego nieobecność, nie miał zamiaru spowiadać się stryjowi z wydarzeń, które miały miejsce w podróży, a ten stryj znowu rezerwował sobie swoje efekty na ostatek, gdyby rzecz cała zbyt leniwie wyjaśniać się miała. Zaczął Stanisław.

— Czy stryj dał nasz adres temu jakiemuś biedakowi, który nas zawiadomił o wygranej?

— Ja dałem adres, ale wysyłanie depeszy doradzałem nie ja — to już jego pomysł własny.

— No, w każdym razie wiadomość jest dosyć ważna...

— O tyle, o ile się sprawdzi — wtrącił Kozera.

— Ty ciągle swoje?

— A ja ciągle swoje, aż do skutku, aż do okazania się czarnego na białem, a nawet aż do wyliczenia na stole pieniędzy, jeśli pozwolisz.

— Dobrze już, dobrze, od dwudziestu czterech godzin słyszę tylko to samo.

— Owszem, usłyszałeś ty i wiele innych rzeczy przez ten czas, i nawet dziwić mi się przychodzi, że tak łatwo o nich zapominasz.

— Nie zapominam, ale mam już dosyć wszystkich podejrzeń, posądzeń, obwinień, z których połowa przynajmniej...

— Zapewne, jeśli ci mało tej drugiej połowy...

— Za pozwoleniem, o co chodzi? — wtrącił pan Joachim. — Czy o autentyczność wygranej? To rzecz do sprawdzenia natychmiastowego. Wiadomość handlowa nadeszła w sobotę po wyjściu dzienników, i dlatego w żadnym z niedzielnych nie znajdujemy jej. Za to dzisiaj znajdziemy ją z pewnością i dosyć będzie zawołać Jakóba, aby nam podał wszystkie jakie są gazety.

W parę minut potem siedział już pan Joachim i przeglądał numer dziennika, a dwaj młodzi ludzie patrzyli mu przez ramię. Wodząc palcem po papierze zatrzymał się nagle, i zawołał:

— Oto macie!

— Nr. 38, serya 3541 — wygłosił pan Joachim. — Jeśli wasz jest ten sam, toście wygrali — jeśli inny, to wam los złośliwego psikusa wypłatał.

Stanisław przybladł jakoś odrazu na twarzy, a na ruchliwej fizyonomii Kozery rysować się poczynał drwiący uśmieszek.

— No rusz-że się przecie i sprawdź — odezwał się ten ostatni.

— Sprawdzić można—bełkotał Stanisław — ale mi się jakoś zdaje, że to nie był ten sam... numer.

— Gdyby to być miało między twymi papierami, to proszę cię, kluczyki — mówił pan Joachim, przypatrując się szczególnie badawczo fizyonomii bratanka. Oględziny te odbiły się jakoś na nim samym nader przykro, i zwrócił się z tem do Kozery, jak tylko Stanisław znalazł się za drzwiami.

— Nie myślałem, żeby ten chłopiec mieć mógł aż tak wielką pożądliwość pieniądza. Widziałeś go—przypatrywałeś mu się?

— Widziałem, ale pan nie zna pobudki. Nie mamy wiele czasu w tej chwili, ale to tylko mogę panu powiedzieć, że Staś zasługuje na to, aby go oszczędzać. Najprzód ta premiówka, to miało być przypuszczalne wcielenie w życie wszystkich wypielęgnowanych przez niego utopij, a potem jego spotkało wczoraj dużo goryczy niezasłużonej — takiej goryczy, która się na całem życiu odbić może. Jestto w każdym razie chwila przełomu dla tego człowieka.

Nie mógł mówić dalej, bo do pokoju wchodził Stanisław. W ręku trzymał rozwinięty tytuł pożyczki premiowej, twarz mu się uśmiechała niby, ale znać było, że robi wysiłek, aby wypracować ten uśmiech. Położył pożyczkę na stole i raz na nią, drugi raz na gazetę spoglądał. Tamci obaj zoryentowali się odrazu, bo i nie było co długo rozważać. Premiówka miała Nr. 27 a seryę 2232; on wyglądał tak, jak gdyby nie pojmował.

— Powiem wam odrazu, co i jak się stało. To ten głupiec woźny jest przyczyną całego nieporozumienia. Wziął nazwisko jedno wyżej, albo jedno niżej w księgach zapisane między nabywcami—w tem rzecz!

I tym razem zgadł nadspodziewanie trafnie pan Joachim, ale to odgadnięcie nie łagodziło bynajmniej zawodu. Nie tu jednakże był kres przykrości, jakich doświadczyć miał w tym dniu biedny Stanisław, bo pan Joachim najniespodzianiej odezwał się wesoło:

— No i patrzajże mój panie synowcze, bylibyśmy się obydwa dostali pod zamknięcie, za ten, jak to mówią, wiatr co wieje.

— Jakim sposobem? Zkąd? — zawołali, powstając oba młodzi.

Tu przyszła na pana Joachima kolej dania sobie folgi za długie miesiące powściągliwości jego. Opowiadał z wszelkimi szczegółami wydarzenia wszystkie dnia wczorajszego, a że był narratorem wybornym, a materya nadawała się w istocie do humorystycznego monologu, więc dramatyzował, ubarwiał, cieniował, nie troszcząc się bynajmniej o rumieńce wypieczone na twarzy bratanka, ani o znaki ostrzegające Kozery, który mu ciągle dawał do zrozumienia, że biedny delikwent ma za swoje aż do zbytku.

Gdy Kozera wychodząc, wstąpił pożegnać pana Joachima, ten ostatni wziąwszy go pod rękę, zapytał poufnie:

— Powiedzże mi, co tam u was zaszło wczoraj po tej depeszy?

— Krótko panu opiszę. Najprzód osłupienie powszechne wszystkich, a nawet moje — to była scena pierwsza. Następnie wybuchy egzaltacyi Stanisława i jego jakiś szał radosny, który ten szczególny wywierał skutek na wszystkich trzech tamtych, że w miarę jak on się entuzyazmował, tamci stygli, jak gdyby ich kto lodem obkładał—i to była odsłona druga. Trzecia i ostatnia była w istocie paskudna w całem znaczeniu tego słowa. Oni, jak gdyby się najlepiej porozumieli, a nie mieli czasu na to, zaczęli najniespodzianiej szukać z nim sprzeczki, co było dla mnie jako dla świadka o tyle przykrzejsze, że im on się mniej skłonnym okazywał do zrozumienia, że chcą z nim zerwać, tem oni okazywali się brutalniejszymi. Tak, że w końcu musiałem się w to wdać, bo mi tąka nieoprawna naiwność grzeszną już zaczęła się wydawać. Po mojej interwencyi przycichli, ale niby jako obrażeni postanowili odjechać. Rezultat dla nich był jeden i ten sam — a rezultatem zerwanie. Tego chcieli.

My mieliśmy także powrócić osobno tym pociągiem, ale zanim zdołałem wyrwać Stanisława z jego osłupienia, na pociąg było zapóźno, a potem sam już starałem się go trochę zatrzymać na miejscu. Ani przewidywałem, że oni tak dzielnie pracować będą dla nas w dalszym ciągu.

— To ty myślisz, że on oprzytomniał — że przejrzał?

— Myślę, że to się stało jeśli nie w całości, to w znacznej części — reszty powinien dokonać czas, jeśli my z naszej strony stać będziemy umieli na uboczu, i nie starać się o przyspieszenie tego, co samo przez się nastąpić musi.

— Może i masz słuszność, ale nuż...

— Niepodobna! Nierozumiem nawet, jakimi środkami odzyskaćby mogli to, co stracili. To wszystko było zbyt oczywiste nawet dla niego.

— Ano, wiesz co, jeśli tak jest, jak mówisz, to ten osioł jakiś dardanelski, ten woźny Wzajemnej Eskonty, mimo wiedzy i woli oddał nam usługę nielada. Plótł mi tam przedwczoraj Bóg wie nieco o swojej biedzie, o jakimś chłopcu najstarszym, którego nie może oddać do szkół, a który się chce gwałtem uczyć. Słuchajże, wstąp tam z łaski swojej do tej ich nory i powiedz mu, żeby przyszedł do mnie. Może syn nie będzie taki kiep jak ojciec. Zdaje mi się, że nazywa się Pakulski...

A. K. S.

KONIEC.

Sprawozdania literackie.

Anna Kłopotowska: „Jeszcze rymy.“

Nazwisko autorki, która pod powyższym tytułem wydała tomik rymowanych utworów mało jest znanem naszemu ogółowi, a nawet kołom literackim, które zazwyczaj w tych kwestyach najlepiej bywają poinformowane, i których uwagę baczną zwraca każde nowe imię, ukazujące się na szpaltach czasopism.

„Jeszcze rymy!“ zapowiada autorka, słysząca ze wszech stron narzekania na obfitość, na nadmiar rymowanej strawy. Mimo, że o tych narzekaniach wie, z kobiecą zuchwałością rzuca nam jeszcze rymy. I powiedzmy odrazu — dobrze robi. Bo prócz rymów jest tam i dużo serca i sporo fantazyi, i trochę subtelnej finezyi niewieściej, jest śpiewność słowa, są poetyczne pomysły, jednem słowem jest talent.

Tomik swój podzieliła p. K. na kilka t. zw. cyklów, z których każdy osobnym ochrzciła tytułem. Na czele wiązanki nazwanej „Trochę serca — pieśni — i kwiatów“ spotykamy wiersz: „Do ptaka!“

Poetka perswaduje ptakowi o złamanych skrzydłach, by nie smucił się, bo na co mu latać gdzieś wysoko, gdzie panują wichry szalone, zkąd widać nędzę współbraci i zkąd prędzej czy później spaść trzeba w błoto ziemi. Czyż nie lepiej w klatce zaopatrzonej w proso i wodę, czyż nie lepiej mieć dach i opiekę? „I nie płacz za wiosną—patrz tyle tu śniegu i szronu, i lodu jest wszędzie, że może Bóg z pór ją wymazał szeregu i może już wiosny nie będzie! Więc cicho siedź w klatce i nie zwij okrutną dłoni, co ze skrzydeł odzierać lubi — bo im więcej ci będzie żyć smutno, tem będzie weselej umierać!“

Jest w tych wylewach pessymizmu trochę młodzieńczego patosu — niema rzeczywistej beznadziejności, niema rozpaczy prawdziwej. To raczej bunt młodego rwącego się ducha. Wierszyk ten pochodzi prawdopodobnie z pierwszych okresów twórczości autorki. Dojrzalszym, silniejszym jest szereg utworów objętych ogólnym tytułem: „W przelocie przez krainę melancholii.“ Tu rzeczywiście smutek dochodzi do wielkiego natężenia. W „Pieśni porannej“ odzywa się poetka do Stwórcy: „Panie, ledwie świt szary spadł z twojego nieba, już nam smutno!“

I przechodząc myślą koleje losów ludzkich roztrąca się wszędzie o białe skały melancholii. Przeżarta smutkiem dusza jej zrzeka się wiosny, która kiedyś roztoczyć ma nad ziemią swoje panowanie i przystroić ją w płaszcz z blasków i kwiatków.

Panie, weźże już sobie swój dzień cichy, biały,
Nam zbyt smutno!
I nie patrz na nas, bo nam dusze pomarniały,
Dusze—co Twej potęgi miały być obrazem
I świecić bóstwa odblaskiem za Twoim rozkazem,
Ach, nie patrz, bo dola nam łzami rozrzutną,
Bo już się nam ostatnie złudzenia rozbiły
I samych nas—ostatnie nadzieje rzuciły,
I ostatnie nam nici pragnień się zerwały...
Więc zabierz Panie, swój dzień długi, cichy, biały!

Bardziej osobistem, lecz równie silnem uczuciem zdaje się być natchniona „Nie budyjska pieśń do Nirwany.“ Autorka skarży się, że ledwie przeszła próg życia, już do życia nie czuje sił, czoło ma zlane potem i duszę starganą, a przed sobą mogiłę, lecz, że strach jej mogiły, więc do nirwany, przez którą rozumie niebyt, wyciąga dłonie.

Cóż mi tutaj po słońcu, które zgasnąć musi!
Cóż po pragnień młodzieńczych zapale zwodniczym,
Na cóż zostać kochaną, potem zapomnianą!
Trud życia mnie przygniata, zmora śmierci dusi—
Ach, weź mnie w swoją otchłań i uczyń mnie [niczem
O nirwano!

Z tem pragnieniem roztopienia się w nicości spotykamy się częściej w omawianej książeczce. Powtarza się ono np. w jednym z najwdzięczniejszych wierszyków zatytułowanym „Nokturn.“ Tu jednak nie znużenie jest jego źródłem, nie rozczarowanie gorzkie. Tu dusza młoda rwie się w nieskończoność fantastycznym lotem, ściga marzenia dla których na ziemi niema właściwie formy. Prozą niepodobna prawie oddać tego drobiazgu, bo czar jego zaklęty tkwi w formie, która ma w sobie coś z nagłych skrętów jaskółczego lotu—i coś z melancholii Szopena i z dzikich tęsknot bardzo młodego i bardzo rozbujałego ducha. Spróbójmy jednak.

W noc jasną majową słyszy poetka śpiew słowika—i prosi ptaka by przyjął ją do swego gniazda, chce prześpiewać z nim noc całą, a rankiem niech czeka na nią pusta chata, ona uskrzydlona pieśnią, uleci w błękit z chórem skowronków—potem w zawody z motylem spadnie na niepokalaną biel lilii polnej:

...na łono lilii szybsza
Od strzały rosą upadnę, chłodem powieję—
I na jej śnieżnej piersi omdlałej
W łzy się rozleję...

Na skrzydłach fantazyi dusza młoda szybuje coraz śmielej:

...o wietrze lekki!
Weź mnie na skrzydła i w świat daleki
W otchłań bez końca goń!
Z tobą niech lecę przez wspomnień kraje,
Przez morza łez,
Przez tęsknot pustki, przez marzeń gaje—
A gdy twym wiotkim skrzydłom zaciężę
Odbierz mej duszy myśli—oręże,
Rzuć mnie na świata kres,
W jaką bezludną na oceanie
Wyspę, gdzie fala rozbija w pianie
I bryzgiem wiecznym szaleje—
Lub w gąszcz zielonych, dziewiczych lasów,
Lub w senne kwiaty dzikich pampasów
Tam niech zmartwieję!

Lub nie! chcę dalej w płynne szafiry
Lecieć, przez mleczny szlak,
W mgławic dym srebrny, w gwiazd złote wiry
Nieskończoności ptak!

Niech tam w tkaninę gwiazd brylantową
W mgławice srebrzysto sine,
Wplotę się życia szarą osnową
I w tę noc cichą, wonną, majową
W nicość rozpłynę!..

Musiałam przytoczyć dosłownie dłuższy fragment, by dać czytelnikom pojęcie o materyale, z którego powstał ten klejnocik. Płyn to jakiś lśniący blaskami brylantów i rozpryskujący się chwilami w pył jasny, w mgłę świetlistą.

I znów to pragnienie nicości pojawia się w melodyjnym wierszyku, który doskonale nadawałby się pod muzykę. „Rozpłynąćbym się chciała, jak ta chmurka biała, gdzieś w błękitów topieli, na dróg mlecznych pościeli—nie czuć życia ochoty, nie czuć śmierci martwoty... Rozpłynąćbym się chciała, jak ta chmurka biała!“

Smutną ironią zaprawna jest zręczna parafraza „Czarów“ Asnyka. I tym razem zdaje się coś dziewczynie — zdaje jej się, że zbliża się do niej miłość, której ona oddałaby duszy połowę, której wierną byłaby do śmierci, której poświęciłaby samą siebie. „Tak się w wieczornej godzinie coś zdało smutnej dziewczynie... spojrzy dokoła, świat pusty — słońce gdzieś ginie w złoto-błękitnej kotlinie. Nikt jej nie wołał.. Tylko fujarki gdzieś tony płyną po runi zielonej, tylko się chwiało trzcin parę w wodzie omszonej—więc pewno dziewczynie onej coś się zdawało.“

W smutnym—szczerze smutnym i ładnym wierszyku p. t. „Pierwsza jaskółka“ radzi poetka przybyłej przedwcześnie ptaszynie, by wróciła do krajów słońca, bo tu mróz ściśnie jej skrzydełka, bo tu może wcale wiosny nie będzie. „Wróć, wierzaj mi, ja wiem lepiej, co to jest słońca wyglądać na niebios sklepie... co to bez końca czekać, by kwiaty rozwiły zamknięte pąki.. bez darni widzieć mogiły, bez piosnek łąki... co to spłynąwszy z gór szczytu szklaną rzeczułką, nie odbić w sobie błękitu... ja wiem jaskółko!“

Pessymistycznym akordem kończy się cały zbiorek: „Snów i piosenek próżna praca — zgiń piosenko!—mówi poetka.

Cały nastrój zatem tych „Rymów“ p. Kłopotowskiej jest pessymistyczny i melancholijny. Nie niebezpieczny, nie szkodliwy to jednak pessymizm — źródłem jego oburzenie szlachetne na różne niedoskonałości tego świata, gorące pragnienie ideału. Czytelnik dojrzalszy nie uwierzy z pewnością by słowa „zgiń piosenko“ miały być na twórczość autorki wyrokiem śmierci — nie uwierzy też, by poetka istotnie nie chciała już przyjąć z rąk Stwórcy cichego białego dnia, gdyby ten spływać zaczął na ziemię. Młode dusze zaś ten liryzm wdzięczny, drżący smutkiem i oburzeniem, może budzić z martwoty.

Na zakończenie kilka uwag dotyczących technicznej strony „Rymów.“

Mimo wrodzonego widocznie daru formy spotykamy u p. Kłopotowskiej często ciężkie i rażące błędy w rytmie, błędy, które można-by zresztą bardzo łatwo usunąć. W niektórych miejscach walcząc widocznie z nadmiarem sylab, autorka skazuje na śmierć czy na wygnanie zaimek zwrotny „się“ i czasowniki zaimkowe pozbawione tej przynależytości swojej, stoją niby okaleczali weterani na jednej nodze. Gdzieindziej składa broń—i pozostawia o jedną sylabę za dużo lub za mało. Takie rzeczy nie uchodzą ludziom, którzy mają talent — i dla pięknej mowy naszej cześć.

H. C.

Na Przedmieściu św. Antoniego

w Paryżu.

Wiadomo powszechnie, że Przedmieście św. Antoniego to klasyczna dzielnica robotnicza starego Paryża — pozostała ona z tem zaludnieniem swojem aż po dni nasze. O niej właśnie z okoliczności pewnego inauguracyjnego festynu, który tam miał miejsce 15 Września roku bieżącego, słów kilka mamy do powiedzenia czytelnikom naszym. Mogą je oni uważać za dalszy ciąg niejako i za dopełnienie myśli wypowiedzianych w artykule naszym o kolegium Ruskina w Oxford.

Festyn, który treściwie opisać zamierzyliśmy, organizował p. Seaille z okoliczności otwarcia uniwersytetu ludowego we Francyi. Co Niedziela powtarzać się będą podobne poranki dla ludności robotniczej o charakterze muzykalno-literackim, z których korzystać mają sfery mało oświecone. Sam program naucz y nas, że uniwersytet ludowy francuzki od kolegium Oxfordzkiego duchem i założeniem nie różni się wcale, że tego samego oczekują po nim francuzkie sfery III ej respubliki, co w Anglii po tem kolegium młodzi amerykańscy i angielscy reformatorowie społeczni.

Przypatrzmy się choć pobieżnym rzutem oka tej sali, temu zgromadzeniu, i temu nakoniec, co tłum jako karm umysłową ma sobie podanem z estrady.

Najprzód znajdujemy tam sale gry z bilardami, szachami, dalej bibliotekę jeszcze nie bardzo hojnie zaopatrzoną, ale mieszczącą to wszystko przynajmniej, co uznano za nieodbicie potrzebne — za niezbędne. A więc dzieła zbiorowe wielkiego Voltaire'a, zbiory starych przeglądów, historyę i socyologię ostatniej doby — z pism nowych: „Merkury,“

„Francya,” „Reformista,” „Dziedzina Sztuki,” „Buletyn Muzeum Socyologii,” „Pokój powszechny,” „Świat humanitarny,” „Nowe czasy” i t. p.

Na ścianach sztychy i fotografie arcydzieł w starannym doborze, dopełnionym z pamięcią o tem, aby wzrok człowieka spotykał tylko piękne formy, budzące myśli podniosłe. Po tych salach krąży tłum pełen szacunku, widocznie wzruszony i pełen zaciekawienia.

Na estradzie ukazuje się artysta i oznajmia, że czytane będą sceny z Molierowskiego „Skąpca.” Ile razy kończy się scena, komentator objaśnia jej znaczenie i związek z tem, co ma nastąpić. I dzięki tym objaśnieniom słuchacze chwytają wybornie myśl przewodnią autora, a swoje wniknięcie w jej istotę manifestują głośnymi wybuchami śmiechu. Aktorowie sami podniecają się tem, że się czują tak wybornie zrozumianymi.

Po Molierze koncert. Na programie czytamy Rondo Bethowena wykonane na fortepianie przez dwie damy. Dalej w wybornem odczytaniu poemat Victora Hugo „Wojna domowa,” po poezyi chórał z XVII wieku, a następnie doskonale powtórzona bajka Lafontaine'a p. t. „Młynarz, syn jego i osioł.” Kończy program „Powrót żołnierza,” odśpiewany tak, że publiczność rozentuzyazmowana żąda repetycyi. Resztę uroczystości wypełniają produkcye muzyczne, wszystko najstaranniej dobrane, spotykamy bowiem na afiszu tylko nazwiska Beethowena, Mendelsohna, Bacha i Schumana.

Nie przeczymy, aby ten dobór nie odpowiadał smakowi melomanów i wszelkiego stopnia dyletantów muzykalnych nawet, ale biorąc w rachunek notoryczny nizki stopień muzykalności przeciętnego francuza oświeconego, żywimy pewne wątpliwości azali do smaku sfer robotniczych tak trafnie dopasowanym jest Bethowen z Mendelsonem, że już o Bachu i Schumanie zamilczymy zupełnie. Nie jest to oczywiście błąd żaden zasadniczy, ale dowodzi ten wybór w każdym razie, że ci, którzy organizują te biesiady literacko-artystyczne, bardzo są skłonni do złudzeń optymistycznych. Przypuszczamy także, że jest pewna sfera intelligencyi wszechświatowej, mogąca bez szczególnej niechęci wysłuchać dzisiaj Moliera, ale nie ufamy, aby z nią dzieliła tę tolerancyę zbałamucona wodewilem i podkasaną przedmieściową sztuką ludność robotnicza Paryża, i dlatego wywiera to na nas niemniej jak muzykalna część poranku wrażenie pomysłu chybionego.

O tych kilkunastu dziełach wymienionych w bibliotece, pomiędzy któremi wielki cynik i szyderca z Ferney odgrywa rolę ewangelisty, dużo byłoby do powiedzenia. Czy jednak poza doktrynerami partyi krańcowej rewolucyjno-anarchistycznej, znalazłby się w świecie całym cywilizowanym jeden choćby pedagog, któryby człowiekowi wpółoświeconemu chciał dać „Dykcyonarz filozoficzny” do ręki, wątpimy—bardzo wątpimy.

Ano! próbować zawsze można.

X.

Z GALICYI.

Proces obwinionych o bezpośredni lub pośredni udział w nadużyciach spełnionych w Galicyjskiej kasie oszczędności, jest w pełnym rozwoju. Po tragicznej śmierci winowajcy głównego dyrektora Zimy, pozostali na ławie oskarżonych obwinieni, z którymi sprawiedliwość toczy w dalszym ciągu walkę zaciętą, walkę dobrze znaną w jej treści i w formie—zawsze tego samego charakteru i zawsze jednako antypatyczną i nużącą dla każdego, kto śledzi jej przebieg ponury. Z jednej strony sprawiedliwość domagająca się przestępcy, tam gdzie przestępstwo stwierdzone i nie wątpliwe, z drugiej podsądni ze swoją sofistyką bliższą lub dalszą od faktycznego stanu rzeczy, z arsenałem wybiegów własnych i podszepniętych przez obronę, a w pośrodku tłum namiętny w sądzie, chciwy skandalu, podbudzony uczuciami stronniczemi, niedopuszczającemi prawie chłodnej refleksyi i słusznej oceny. Fatalny, demoralizujący widok, tak pospolity niestety u schyłku naszego wieku, a tak łatwo dający się przewidzieć wszędzie, gdzie słyszymy głośny brzęk złota, gdzie dużo blasku, reklamy, obietnic, i wszelkiego stopnia kusicieli wraz z czeredą całą podrzędnych naganiaczy.

Pominiemy wiele się tylko da, pomińmy bodaj wszystkie szczegóły procesu. Niepotrzebne nam tutaj wcale regestrowanie przeniewierstw zwyczajnych i kunsztowniejszych od nich przestępstw, polegających na ukrywaniu przed opinją i sprawiedliwością groźnego stanu interesów w kasie oszczędności przez okres lat całych. Niepotrzebne również małoduszne a wstrętne usprawiedliwianie się przed sądami tych podrzędniejszych niby wspólników przeniewierstwa, którzy dzisiaj odśpiewują na ławie oskarżonych wyuczone legendy o despotyzmie nieugiętym dyrektora Zimy, o jego nakazie sporządzania bilansów niezgodnych z istotnym stanem rzeczy, o własnej bierności, ślepem posłuszeństwie, a nawet gołębiej naiwności, niedopuszczającej myśli nawet, aby ten, kto w księgi rachunkowe wprowadza pozycye fikcyjne, mógł istotnie spełniać czyn karygodny, obliczony na szkodę uczestników kasy, a raczej jej wierzycieli. To są wszystko wybiegi, bardzo wstrętne, a najzupełniej bezowocne, bo tym razem, to już nie dalszy ciąg przenoszenia z pod jednej pozycyi w drugą, nie mydlenie oczu radom nadzorczym i rewidentom kasy, ale likwidacya sama, obrachunek ostateczny. Cynizm człowieka przyznającego się do przestępstwa jawnie i publicznie oburza i budzi odrazę, ale faryzejska pokora, dyssymulacya, jakieś zasłanianie się rodziną i trwogą przed usunięciem z posady, to także manewr jak najwyraźniej obliczony na przejednanie galeryi i sędziego przysięgłego w następstwie. Buchhalter nie oceniający doniosłości zamieszczenia w księgach pozycyi maskującej stan faktyczny w setkach tysięcy i milionach reńskich, to przecież jeden z niedołężniejszych pomysłów, któryby nawet lichemu autorowi powieści kryminalnej nie przeszedł przez głowę.

Dajmy pokój mistyfikacyom czy żartom — chwila do żartów jest nader niefortunnie wybrana. To na co patrzymy, to tragedya w całem znaczeniu, nie krotochwila żadna.

Jeśli mamy zrobić ustępstwo z przekonań co do stopnia możliwej dobrej wiary przy spełnianiu nieformalności rewizyjnej, to wypadnie nam je zachować sobie dla kilku osobistości, których życie całe wyższe nad podejrzenia, stanowisko wywalczone samodzielnie, i honor imienia chlubnie odznaczonego od paru pokoleń w służbie publicznej, wyłączają stanowczo z rzędu takich, których miejsce na ławie oskarżonych. A z drugiej strony znowu, jak uwierzyć i w tych nawet wypadkach, aby człowiek cyfr, świadomy odpowiedzialności swojej za akt taki, jak sprawdzanie ksiąg wielkiego przedsiębiorstwa, aby człowiek taki bez wniknięcia w istotę rzeczy, bez profesyjnej choćby ciekawości, kładł po dziecinnemu swój podpis, na sankcyę matactwa zorganizowanego i na ewentualną niesławę własną Czy możliwą jest taka lekkomyślność, czy przypuszczalne niedołęztwo i łatwowierność tego rodzaju u indywiduów obeznanych z przedsiębiorstwami finansowemi, u ludzi, którzy stali sami na czele podobnych instytucyi i wywiązali się z zadania swego jak nie można zaszczytniej.

Obłęd chyba, szał ogólny, zaślepienie czy atmosfera cała zatruta, bo już nie wiadomo doprawdy jak sobie tłómaczyć fakta, jak odgadywać psychologię jednostek niektórych, stojących przed sądami w niezdecydowanym dotąd charakterze świadków czy obwinionych?

Tak, jestto atmosfera sztuczna, to prąd upoważniony przez chwiejność opinii, kult bałwochwalczy dla wszystkiego, co jest powodzeniem, przy niepojętej prawdziwie manii hazardu, którą dotknięte są społeczności dzisiejsze.

Hazardu... ten wyraz sam przez się przypomina nam jedno jeszcze nazwisko, to mianowicie, które wbrew wszystkiemu, co je dzisiaj obciążać się zdaje, otoczone jest najwyższym stopniem publicznej przychylności, jaka człowiekowi aż na ławę oskarżonych towarzyszyć może. Zamilczymy je tutaj, skoro zamilczeliśmy tyle innych, choć rola jego w katastrofie pośrednio najwybitniejsza, a szkoda przezeń zrządzona instytucyi najdotkliwsza. Człowiek ten, cieszący się szacunkiem powszechnym od lat wielu, uchodzący za genialnego organizatora ruchu przemysłowego prowincyi całej, stał się przez lat szereg długi, jak obecnie wykazują rachunki, wierzycielem kasy na 5 z górą milionów reńskich. Zkąd kredyt tak olbrzymi, gdzie realności usprawiedliwiające jego wysokość, gdzie zabezpieczenie dla części choćby tego kolosalnego stosu zobowiązań — daremnie siłą sobie głowy wszyscy i tylko osobista dłań przychylność zmarłego dyrektora Zimy, tylko tego ostatniego niezmordowana chęć ratowania z toni zagrożonego aferzysty, jest jedną jedyną na wszystkie zarzuty i przypuszczenia odpowiedzią. Galerya patrzy i słucha zdumiona zeznań tego człowieka, nie pozbawionych wcale godności, szczerych, bolesnych, biorących na siebie część winy słusz-

ną i tylko dopominających się o nie odmawianie postępowaniu jego dobrej wiary, intencyj uczciwych, założenia podjętego z myślą o dobru ogólnem. Prasa nawet, tak niesyta w naszych czasach skandalu, z małym wyjątkiem naznacza mu stanowisko moralne w tym procesie całkiem odrębne i wyłączne, komentuje fakta, nadając im zabarwienie, jeśli nie dodatnie całkiem, to przynajmniej o wiele mniej ujemne, niż chce mieć rzeczywistość i oskarżenie. Oto mamy i w naszej prasie jedną właśnie z takich obron, z tego rodzaju, przed trybunał opinii wnoszonych instancyi, przemawiającą za tym człowiekiem, który zapewne w życiu swojem wszystkiego rychlej mógł się spodziewać, niż zabrania kiedyś miejsca na ławie oskarżonych, i to w towarzystwie...—boleść w istocie pomyśleć, w jakiem!

Przechodzi tam ów obrońca w treści całą działalność tego nieszczęśliwego, zdruzgotanego dzisiaj przez losy, charakteryzuje jego stanowisko wobec powszechnego ospalstwa przemysłowego, usprawiedliwia złe, które mimowiednie wyszło z jego przedsiębiorczości, podnosi nieograniczoną dobrą wiarą i ufność... Wreszcie dlaczego mamy streszczać to, co prawie dosłownie będziemy mogli przytoczyć w ustępach całych z tej niesłychanie znamiennej obrony, odznaczającej się między innemi punktem wyjścia, który sam przez się więcej nam mówi o oskarżonym, niż oskarżenie i sam przebieg badań nawet.

Artykuł opowiada, jak to od początku ma rzył obwiniony dzisiejszy o zamienieniu Galicyi przy pomocy naftowego przemysłu, w jakąś Kalifornię złotodajną — o rozrzuceniu po kraju jałowym setek fabryk, kopalń i warsztatów, o przeobrażeniu na tej drodze charakteru narodowego na modłę angielską, która jednem konsekwentnem „chcę” zmieniać może karłów w wielkoludów, jałowe pustynie w doliny Szyrazu, biedny, przed widmem głodu uciekający za morza, lud galicyjski, na społeczeństwo syte, przywiązane do swojej gleby, już nie macochy, ale macierzy szczodrej.

A więc na skinienie jego ręki niby, zadymiły na tej ziemi zapomnianej kominy, rozległ się skrzyp wind, warczenie kół; wszędzie tam, gdzie panowały dotąd nędza i martwota, zawrzało życie i ruch. A jemu każda myśl nowa rozpalała duszę marzeniami wielkiemi i tęczowymi snami, więc dalej, dalej, ciągle dalej!

Budź się Galicyo! Tłumy aferzystów i przemysłowców garną się do tego wodza z wyciągnionemi rękoma, a on sam sypie złotem... sypie ciągle... niewyczerpany i niestrudzony.

Jak się oprzeć ułudom takim i czy jest taki, któryby im się oprzeć zdołał?

Nagle nici zaczynają się plątać, powodzenie słabnie, faza pomyślności zakończona... Przeliczył się wielki fanatyk — dlaczego przeliczył — jak mógł się omylić ten genialny człowiek? Oto ziemia, na której działał, to grunt pierwotny; tu świty rozwoju zaledwie!

Kolej na następstwa teraz, jak mówią, łatwe do przewidzenia, ale po nastąpionym fakcie dopiero—przedtem ani dla niego, ani dla nikogo nie były one spodziewanemi. On walczył, on chciał zwyciężyć — on nadewszystko wierzył w zwycięztwo. A tymczasem po niepowodzeniach niepowodzenia — po klęskach, klęski — po epoce odurzających sukcessów faza wyzysku i upadku. I węgiel i nafta, i wszystek ruch wymyka mu się koleją i przechodzi w ręce obce, które miliony na nim zyskują—on ginie.

W dodatku do całej gorączki przemysłowej łączy się w tym człowieku niespożytej organizacyi, gorączka życia publicznego. Ta ostatnia była, jak on sam utrzymuje, źródłem wszystkich klęsk najdotkliwszych dla jego przedsiębiorstw. Już tylko w pociągach dróg żelaznych mógł prowadzić swoje studya nad ukowe—tylko na stacyach kolejowych wydawać rozkazy tym, którzy na nie tutaj oczekiwali.

Co miał zrobić innego? pyta autor artykułu. Czy zatrzymać się, gdy był u zenitu powodzeń — oddać w obce ręce długo pielęgnowane marzenia—oddać się spoczynkowi?

Nie mógł — nie powinien był tego robić... i t. d., i t. d., i t. d.

Aj, ty adwokaturo dziennikarska! Jakie ty niefortunne usługi oddajesz często tym, których bierzesz w opiekę, a których w istocie gorzej obwiniasz, niż sam oskarżyciel z urzędu! Toż ty ani się domyślasz, że wraz z grzechami jednostki wleczesz grzechy pokolenia całego na światło dzienne raz jeszcze. Naczelne miejsce w życiu tej społeczności naznaczone przemysłowi, przy pogardzie zagona, i tego wszystkiego co swoje, a wszak ruchliwości, merkantylizmy zaoceanowe, to już dziś osądzone i gorzko opłakane pomyłki, po których zostaną nam tylko orgie lichwy, rozlegające się na tych obalinach i spopielone serca wyprowadzonego w pole pokolenia.

Fanatyk przemysłu, reformator swego społeczeństwa za pośrednictwem kominów fabrycznych, zgrzytu wind i huku młotów! Wiadomo przecież dla kogo spadają te deszcze złote—wiadomo równie. że prócz zgliszcz i popiołów nic one za sobą nie zostawiają. „Sny tęczowe—zbudź się Galicyo!—Dalej! ciągle dalej!“—Wielkie słowa, a puste brzmienia, z poza których prześwieca nagi szkielet prawdy — prawdy bolesnej, gorzkiej, jak żółć, ale niezawodnej i jedynej. Czy to w ten sposób i przy tych hasłach budzą się społeczności? Wszak owo nieskończone „dalej i dalej!” nie nazywa się w praktyce życiowej inaczej, jak prostem gorączkowem odgrywaniem się wobec niechybnej nawet zagłady—wobec ruiny jasnej już jak dzień Boży, która mówi, że to koniec nieodwołalny złudzeń. Ta wytrwałość potępieńcza, to przecież nic innego, jak zamienianie katastrofy pojedyńczej na klęskę powszechną, to jest tylko rewanż karciarza — to wciąganie w wir setek i tysięcy ofiar.

Czegoby to nie należało darować utopistom i ideologom prawdziwym, szczerym, fanatycznym niewolnikom zasady i idei, jeśli w tych wyrazach będziemy przemawiać za manjakami opętanymi przez gorączkę złotą? Gorączką czynu tłómaczy autor artykułu nawet to wyciągnięcie ręki po mandat poselski. Oh! to pomyłka, wielka pomyłka! Niestety, gdybyż i w tem nawet mógł się znaleźć materyał do usprawiedliwienia. Ale społeczeństwo, tamto mianowicie, wie, że go niema, bo rozumie ono dobrze, jakiego znaczenia jest na gruncie Galicyjskim ubieganie się zagrożonych aferzystów o przedstawicielstwa narodowe. To nie obrona, to obwinienie owszem to wszystko.

Nie po to z pewnością, aby dołożyć brzemienia obalonemu podjęliśmy tę sprawę, ale po to, aby z wielkiego nieszczęścia wynieść jakiekolwiek wskazania dla przyszłości, aby czytelnika nie zostawić pod wrażeniem czczej deklamacyi jedynie.

Wskazanie jest jedno tylko. Nie przez gorączkę złotą jednostek odradzają się społeczności upadające, ani budzą apatyczne. Nie Gouldy, Vanderbildty i inni im podobni mogą się wysuwać naprzód z hasłami odrodzeń. Ludzie tacy jeśli wychodzą tryumfatorami rozsiadają się na górach zdobytego kruszcu—pobitym w walce, tylko w oczach najłatwowierniejszych stroić się wolno w nimb zapoznania i męczeństwa.

S.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Ze śmiercią Popiołka straciła jedyną istotę męzką, uznaną przez siebie za godną szacunku i przyjaźni. Rymujący — może dlatego właśnie że rymujący—Kazimierz wyszedł jej zupełnie z pamięci; wśród otaczających ją mężczyzn ani jeden nie zdołał zająć na dłużej jej uwagi. O mężu zaś jej można poprostu powiedzieć, że już od dłuższego czasu przestał dla niej istnieć.

Cieńscy, choć mieszkający pod jednym dachem, byli teraz dla siebie zupełnie obcymi. Wanda tak uregulowała swe godziny wyjścia i powrotu, że zabezpieczona była całkowicie od spotykania się z mężem. I zapomniałaby nawet doszczętnie o nim, gdyby nie to, że od czasu do czasu, w ten lub inny sposób, sam jej swą obecność przypominał.

W ostatnich tygodniach, w pokoju Cieńskiego bywało wieczorami bardzo gwarno. Odwiedzali go starzy brodacze, z którymi do późnej nocy prowadził krzykliwe dysputy.

Pojedyncze, zagadkowe dla niewtajemniczonych, wykrzykniki dolatywały aż do pokoju Wandy; gryzący dym ordynarnego tytoniu, rozchodził się po całem mieszkaniu; nazajutrz zaś przychodnia służąca wymiatała z gabinetu Cieńskiego i z saloniku pełne śmietniczki popiołu wysypanego z fajek, zaschłego błota otrząśniętego z obuwia, podartych papierów, korków od butelek i t. p.

Te orgie knajpiane przeszkadzały nieraz Wandzie w pracy, przyjąwszy wszakże względem męża system zupełnej neutralności i traktując go *per non est,* nigdy nie występowała z głośną opozycyą. Gdy wrzaski „furyerystów” zanadto jej dokuczyły, a wstrętny dym

o migrenę ją przyprawił, uciekała do sąsiadki — nigdy się jednak przed nią ze swych utrapień nie wynurzając.

Pieniężne stosunki między małżonkami ułożyły się od początku w sposób bardzo prosty. Cieński opłacał komorne i usługę; poza tem do wspólnego domowego budżetu nic wkładać nie potrzebował. Każde z małżonków miało własną kasę i dowolnie nią rozporządzało. Suma, otrzymana z zapisu Popiołka, najzupełniej wystarczała Wandzie na wszystkie osobiste potrzeby.

O zdrowiu męża, a raczej o jego chorobie, Wanda wcale nie myślała. Była to sprawa kłopotliwa, wolała przeto o niej zapomnieć. Nie poczuwała się przytem do żadnych obowiązków względem Cieńskiego. Albożto zresztą on inaczej względem niej się zachowywał?

Jednego rana, hałaśliwiej niż kiedykolwiek było u Cieńskich. Zdawało się, że wyznawcy nieboszczyka Fouriera na sejm tu się zebrali. Przepełniony był nimi nietylko pokój Cieńskiego lecz i salonik. Wanda musiała zamknąć się na klucz, bo odważniejsi zaczynali już i do jej pokoju zaglądać.

Koło południa wszyscy wyszli. Wandzie zdawało się, że słyszy głos odźwiernego i przesuwanie walizy podróżnej po podłodze. Nie zwracała na to uwagi—rada, że nastąpi wreszcie upragniona cisza.

Cisza w istocie nastąpiła—przeciągnęła się zaś wyjątkowo długo.

Wanda, która nad książką przesiedziała do drugiej po północy, nie doczekała się powrotu męża. Nie należało to do rzeczy wyjątkowych, ani nawet rzadkich; dziwnem za to było, że Cieński nie zjawił się ani nazajutrz rano, ani nazajutrz wieczorem.

Nie dostrzegłszy jego obecności i na trzeci dzień, Wanda musiała przyjść do przekonania, że mąż wyjechał. Wyjechał, nie pożegnawszy się i nie uprzedziwszy dokąd wyjeżdża.

Zaciągnęła się papierosem i skrzywiła usta w sposób, który w języku mimicznym znaczy:

— Krzyżyk na drogę!..

Potem zabrała się do pracy z takim spokojem, jakby żaden jej mąż na świecie nie istniał.

Właśnie kończyła przepisywać na czysto jeden rozdział rozprawy, gdy przyniesiono jej telegram.

Otworzyła go obojętnie.

Depesza była wysłana z Boulogne i podpisana obcem jej zupełnie nazwiskiem. Zawierała te słowa:

„Przybądź pani najbliższym pociągiem do męża, który znajduje się w domu zdrowia przy ulicy... (następował adres).”

Skrzywiła się ponownie, ale już w inny sposób, niż poprzednio. Tym razem skrzywienie to można było przełożyć na słowa:

— Licho nadało!..

Ścisnęła w ręce telegram z gniewem wyraźnym. Tak nie w porę wypadała ta jazda. Tak mało miała do niej ochoty! Tak chętnie wykręciłaby się od tego kłopotliwego obowiązku!

Ale nie było rady.

Jedną z konieczności życiowych, do obejścia niemożliwych, jest: że żona musi znajdować się przy łóżku chorego męża. Wymaga tego zwyczaj, przysięga złożona przy ślubie—nawet prawo. Co najważniejsze, jest-to obowiązek honoru.

Honor był jedną ze świętości, szanowanych przez Wandę. Miała ona o nim swoje odrębne pojęcia, w zasadzie jednak nie różniły się one wiele od pojęć ogółu.

Odbyła krótką walkę wewnętrzną i powiodła wzrokiem dokoła, jakby badając, czy nie przyjdzie jej zkądkolwiek pomoc lub natchnienie. Ale że pustka mieszkaniowa niczem wspomódz nie mogła, więc energicznym ruchem odrzuciwszy w tył głowę, podniosła się i — po chwili, z jowiszową zmarszczką na czole, zajmowała się już przygotowaniami do podróży.

W mieście nadmorskiem, pełnem kupieckiego harmidru, gdzie wszyscy, pędząc i potrącając się, mieli miny ludzi zapóźnionych i pośpieszających na pociąg odchodzący za minutę — nie bez trudności przyszło odnaleźć dom zdrowia, wskazany w telegramie.

Znajdował się on na jednej z najbardziej oddalonych ulic, prawie na samym krańcu miasta, a otoczony drzewami i jakby kryjący się przed światem, po okropnej hałaśliwości przedmieścia, wydawał się cichym jak grób...

W poczekalni przyjął Wandę młody jeszcze lekarz, z nieruchomym wyrazem twarzy, w który pewni ludzie ubierają się do świata, jak w maskę.

Ujrzawszy kobietę wątłą, o cerze anemicznej, której chorowitość powiększyły jeszcze trudy podróży, osądził, że trzeba ją „oszczędzać.”

— Przeprosić panią muszę za sprawione jej wzruszenie—rzekł bezdźwięcznie, wskazując umiarkowanie uprzejmym ruchem miejsce na fotelu. — Alarm okazać się może nieusprawiedliwionym. Wolę jednak w tych wypadkach grzeszyć przesadą, niż lekceważeniem. Każda choroba miewa niespodzianki; co w pierwszej chwili wydawało się bezpośrednio niepokojącem, przedstawia się następnie o wiele korzystniej. Co prawda, bywa i przeciwnie. W ogólności...

Wanda przerwała ten łańcuch frazesów, zapytując właściwym sobie, zimnym, stanowczym głosem:

— Czy stan beznadziejny?

Lekarz podniósł wzrok na pytającą i spotkał jej wielkie, czarne oczy, w których błyszczała inteligencya.

Zmieszał się cokolwiek i nie spieszył z odpowiedzią. Namyślał się nad nią widocznie.

Wanda tymczasem dodała:

— Wnosząc z pewnych objawów, przypuszczam, że to będzie lub jest nawet — to, co panowie nazywacie *monomanie raisonnante*.

Twarz lekarza straciła swą urzędową nieruchomość. Przybrał postawę swobodniejszą i poufalszą, jaką miewamy dla — równych sobie.

— Dyagnoza pani — rzekł, natrafiając na ton właściwy — jest zupełnie trafna. Mamy tu typowy okaz obłędu rozumującego. Aby jednak oznaczyć właściwe natężenie choroby i mieć możność rokowania o jej przebiegu, musimy znać dokładnie jej przebieg dotychczasowy. W tym celu prosić będę panią, która jako żona...

— Nie wiele będę mogła dostarczyć panu spostrzeżeń — przerwała szybko Wanda. — Okoliczności zrządziły, że w ostatnich czasach byliśmy prawie zupełnie rozdzieleni z mężem.

— Rozumiem...—szepnął domyślnie lekarz.— Każda jednak, choćby najdrobniejsza wskazówka będzie dla nas pożądana.

Skinęła głową na znak przytwierdzenia i przysunąwszy się nieco z krzesłem, tym samym prędkim, urywanym, przytłumionym cokolwiek głosem, opowiedziała wszystko, co z własnej obserwacyi i z cudzych doniesień wiedziała o mężu.

Zakończyła pytaniem:

— Cóż pan na to?

Lekarz, który słuchał opowiadania z wielką uwagą, potarł wyłysiałe czoło, i powolnym profesorskim tonem jął wykładać:

— Inteligencya silnie nadwerężona, ztąd nieład w sferze uczuć i postępków. Przebieg może być ostry lub chroniczny. Odróżniamy tu zwykle trzy okresy. W pierwszym ulegają mniej lub więcej widocznej zmianie charakter i przyzwyczajenia. W drugim występuje zamęt w pojęciach. W ostatnim spotykamy albo podniecenie manjackie, prowadzące do szaleństwa, albo też stopniowy, szybszy lub powolniejszy zanik władz umysłowych, kończący się otępiałością i obłędem. Tego rodzaju manja bywa ciągła lub przerywana. Chorzy, pozornie uleczeni, wpadają nierzadko w recydywę. Manja ta miewa liczne komplikacye i łączy się z lipemanją, hipokondryą oraz histeryą. Często też towarzyszy jej paraliż postępowy.

Oczy Wandy, bystro wpatrzone w mówiącego, nie zaćmiły się ani na chwilę wzruszeniem. Rozmawiała o mężu obojętnie, jak o człowieku obcym; wrodzony zaś pociąg do badań sprawił nawet, że słuchała wykładu — z zajęciem.

— W którym stopniu, według pana, znajduje się chory?—spytała ciekawie.

Lekarz zawahał się nieco, i spojrzał uważnie w oczy pytającej, aby w nich znaleźć dla siebie wskazówkę.

— W... ostatnim — rzekł wreszcie głosem przyciszonym, zająknąwszy się cokolwiek.

— Jak długo okres ten może się przeciągnąć? — nastąpiło natychmiast nowe pytanie.

— Trudno dać na to odpowiedź stanowczą. Sprawa ta zależy wiele od okoliczności, poprzedzających wybuch ostateczny—o tem zaś niewiele możemy dowiedzieć się od pani... Cokolwiekbądź, za okoliczność korzystną uznać trzeba, że nie powstrzymywano zbyt gwałtownie początkowych wybryków chorego...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Obchód pamiątkowy.

W bieżącym miesiącu cały świat cywilizowany oddał hołd pamięci Fryderyka Chopina, jako w pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci. Na naszej ziemi—na jego ziemi, żałobna ta uroczystość z pewnością rzewniejszem i głębszem, niż gdzieindziej odbiła się wspomnieniem. Tłómaczem naszej duszy przed światem był ten genialny pieśniarz, a tłómaczył ją w mowie swojej, której potęgą mistyczną hojniej niż kogokolwiek ze współczesnych udarowała go w szczodrocie swojej Opatrzność.

Lepiej niż świat cały rozumieć go powinny i rozumieją serca nasze; my jedni wiemy zkąd woń tych kwiatów, szumy wód, borów i skargi a tęsknice tej duszy w odlocie. Imieniowi jego wdzięczne wspomnienie, pieśni pomnik w sercach pokoleń, a duchowi spokój i ukojenie w wieczności!

Pogadanka.

O modach.

Już się sezon na dobre rozpoczął, a zmian u nas wielkich zanotować nie możemy. W Warszawie jedynie płaszcze i żakiety dawną zręczność zamieniły — stosując się do mody — na dziwacznie przedłużone palta, naśladujące zupełnie męzkie. Panie nasze odrazu w te ciasne worki wsunęły się z gustem i zdają się być zadowolone zupełnie.

W Paryżu inaczej—tam ruch zawsze, a obfitość pomysłów żywe nerwy Francuzek porusza. Otóż moda zapowiedziawszy w początku roku suknie płaskie z przodu i od tyłu, położyła kropkę i kwestya zdawała się być skończoną. Paryżanki tymczasem okiem znawczyń spojrzały w lustro i powiedziały sobie, że na tem poprzestać nie można. Trudno było w istocie kaprysowi temu dziwacznemu przyklasnąć—wszystkie panie wyglądały niekorzystnie; spódnice płaskie, opinające się przy siadaniu, niewygodne, bardzo były nieładne w dodatku. To też w magazynach francuzkich odrazu znaleziono na to sposób. Do sukien obcisłych, dorzucono jeden bryt od tyłu, szpiczasty w kształcie klina, ten się wszywa między dwa tylne bryty sukni, wązkim od góry, a szerokim końcem od dołu. W ten sposób suknia się od góry nic nie poszerza, a dostateczną rzuca ilość fałd, niezbędnych do układu dobrego sukni. Nawet tren lepiej w ten sposób wygląda. Tak skrojone suknie są w tej chwili w Paryżu najnowsze. Przypuścić także należy, że i obecne żakiety i płaszcze w zastosowaniu do sukien płaskich. nie utrzymają się długo, chociaż wszystkie zagraniczne magazyny przepełnione są nimi. Długość sięga przeważnie do kolan, lecz bywają i dłuższe; może zima przyniesie jeszcze inne odmiany i ulepszenia.

Poza tą formą niby ogólnie przyjętą, żakiety krótkie, obcisłe, wcinane, dla młodych osób zawsze modnymi zostaną. Model widziany zagranicą, był w kolorze czarnym, podbity jedwabiem serge tailleur. Wszystkie szwy ozdobione były wypukłym haftem; ranwersy w odmiennym kolorze. Model miał aksamitne białe, pokryte tym samym haftem co i szwy żakietu. Ranwersy bywają w najrozmaitszych kolorach: pąsowe, niebieskie, heliotrop—wszystkie haftem pokryte. Bardzo to bywa do twarzy niektórym.

Co się tyczy tych, jak je we Francyi nazywają, „grands vêtements," zastępują one dziś u pań wylosowane rotundy. Wygodne do zarzucenia, służą zarówno przy eleganckiej toalecie, jak i zupełnym negliżu. Widzimy jasne, szkockie, ażurowe, na kolorowej podszewce, gładkie ze spodem w pstrą kratę, trudno powiedzieć które najładniejsze i które najmodniejsze. Najnowszy wszakże fason francuzki widziany, był w rodzaju szala czy chustki, wyglądał jak dawne francuzkie szale. Jeden róg niżej, drugi wyżej na plecach, z czarnego sukna, na wacie, odpodszewkowanym był jasnem surah; styl zupełnie à la grand maman, obszyty frendzlą; nad każdym rogiem piękny, wypukły haft.

Frendzla jest także wielką nowością sezonu. U Wortha dają od przodu u sukien długie szarfy ze wstążki lub aksamitu, oszywane długą frendzlą ze szneli. Nawet kapelusze przy węzłach mają frendzlę jedwabną lub z paciorków stalowych. Kapelusz, który nam pokazywano w ten sposób ubrany, z filcu zielonego, otoczony był materyą bleu-ciel, na boku leżący węzeł oszyty był jedwabną frendzlą.

Bolera więcej niż latem zapowiadają się na zimę, nic też ładniejszego, jak bolero krótkie, wycięte w szerokie zęby, z pod których widać pasek kolorowy z atłasu albo aksamitu.

Z kolorów modnych, piszą nam, stanowczo przeważył kolor popielaty „gris zinc" dalej bronzowy „cigare." Do przybrania aksamit zielony nowy „vert serpent" albo „vieux rose."

Z materyałów na suknie wybrano sukno, tylko przemysł francuzki powymyślał na sezon nowości dużo; najładniejszym z pomiędzy wszystkich jest drap de satin. „Tout est en satin," jak się wyraziło jedno z pism francuzkich, pojawiła się bowiem materya nowa w rodzaju welwetu czy aksamitu—puszysta, którą nazwano „panne satin," nawet już jest i tu w Warszawie w wielkich sklepach. Robią z niej całe kostiumy, jest bowiem nowością sezonu, w tysiącach odmian i deseni; gładkie w groszki rozrzucone jak gwiazdki, w drobne kwiatki, w listeczki, muszki i t. p.

Zakładki, wązkie skosy, pliseczki drobne, garnirowania, także bardzo modne. Nawet kapelusze niemi stroją. Robią je całe z drobnych skośnych pliseczek, układanych jedne nad drugiemi lub systematycznie w grupach po trzy na raz. Cała naprzykład główka ze skosów atłasowych złożona należy do najświeższych dziwactw, lecz sądzę, że wykonalnych dla każdej zręcznej rączki.

Dodatkowych drobiazgów tyle się widzi, że trudno zapamiętać i opisać. Wspomnimy tutaj kapelusz wielkiego cesarza, biżuteryę najmodniejszą; noszą ją panie ze złota i srebra, jako: broszki, guziki, szpilki, czasem nawet brylantami wysadzane.

Wskazówki i rady.

Kolacya weselna (na żądanie).

Stół jadalny przy ucztach weselnych lub jakichkolwiek wystawnych, może być ubierany tylko kwiatami świeżymi w bukietach lub też można i w wazonach, ale nie roślinami liściowemi lecz kwitnącemi.

Po wódkach, zakąskach, jak rozmaite tartinki zwane kanapkami lub sandwitczami, na których nakłada się łosoś, kawior, serdele (nigdy sardynki bo te są za grube i mają skórkę), wyborne śledzie, jajka i t. p., bo takie tartinki najmniej robią ambarasu przy większej liczbie osób. Następnie podaje się na kolacyę:

1) Majonez z łososia w całości.

2) Comber cielęcy lub polędwica — przy cielęcinie jarzynki duszone w maśle w koszyczkach z ciasta, obstawione około combra. Jeżeli zaś polędwica, to sos maderowy z truflami, a z dwóch stron w koszyczkach wyciętych z brukwi ułożone masło sardelowe. Zamiast cielęciny można podać pasztet ze zwierzyny we francuzkiem cieście na gorąco.

3) Bażanty, przepiórki, kwiczoły, kompoty różne z wyjątkiem borówek i zielona sałata.

4) Jarzyna karczochy napełnione zielonym groszkiem, lub groszek zielony „vol au vent," fasolka zielona po angielsku,

Słodkie danie: Kremy — tort hiszpański i t. p., owoce, cukry. Kawa, likiery.

Kolacya wykwintniejsza.

Po tartinkach lub przekąskach podanych na osobnym stole, z galantiny, chaud froid, łososia, kawioru, pasztetu strasburskiego, z wątróbek gęsich i t. p., podaje się:

1) Ryba Turbo, sole, lub wreszcie wiślany łosoś na gorąco, ubrane szyjkami raków, nóżkami homarów, truflami z sosem holenderskim lub świeżem tylko gorącem masłem.

2) Combry sarnie szpikowane truflami, sos truflowy z maderą.

3) Poncz rzymski.

4) Pulardy, kapłony, młode indyczki, nadziewane kasztanami. Kompoty.

5) Szparagi, karczochy.

Lody „moscovite," lody przezroczyste z ananasów, owoce w cukrze osmażane w koszykach oraz świeże, jakie pora roku podaje. Kawa, likiery.

Sery wyszły z użycia, podają się tylko pod kloszem szklanym w poufnych zebraniach — nie stawiają się nigdy na stole jadalnym.

Po rybie podaje się wino francuzkie białe Yquem, Sauterne lub czerwone bordeaux, dalej wina reńskie, węgierskie — od pieczystego zaś poczynając podaje się ciągle szampan.

W nowym układzie gastronomii nie podaje się ponczu „à la romain" (rzymski) po rybie lecz pomiędzy dwoma potrawami mięsnemi. Poncz rzymski może być robiony na reńskiem lub szampańskiem winie.

Kolacya cukrowa należy wyłącznie do pana młodego — wszelkie słodycze, nawet tort z piramidą, szampan i stary bardzo słodki tokaj — żadne inne wina się nie podają.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою Варшава, 11 Октября 1899 г. Redaktor Jan Skiwski. DODATEK.

Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Andrzej Theuriet.

ZACISZE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Tak tedy pewnego piątkowego popołudnia zebrali się nakoniec samotnicy na odwiedziny w willi Marronniers. Łucya której zasadą było pokazywać się ludziom jak można najpowabniej, mogła istotnie swoim strojem pełnym harmonii i dobrego smaku, zrobić w każdem towarzystwie wrażenie przy tym wdzięku, jakim ją obdarzyła natura. Odległość była nieznaczna, czas piękny, przybyli więc oboje nieutrudzeni, a tem samem przyjaźniej niż zwykle usposobieni dla ludzi obcych. Wprowadzono ich natychmiast do salonu, a gospodyni domu na powitanie zarzuciła prawdziwym potokiem uprzejmości wypowiedzianych w narzeczu Sabaudzkiem, ze zwrotami także lokalnego zupełnie charakteru.

— Cóż to za szczęście dla naszego biednego Talloires—mówiła—zyskać takich mieszkańców, a w dodatku p. Grivaz zapewnia nas, że nie przez parę jakichś miesięcy cieszyć się mamy obecnością państwa! Czy tylko ostra zima naszych gór nie przerazi państwa?

— Ależ nasz lekarz domowy zapewniał, że owszem, zima bardzo łagodna w tej dolinie.

— W Talloires zapewne, ze względu, że to zwrócone ku południowi. Wszak najbliższy sąsiad Zacisza i Paryżanin jak państwo, pan Lang, któremu zalecono kuracyą klimatyczną, został przysłany tutaj, i on powiada, że Talloires robi mu bardzo dobrze. Czy i państwo ze względu na zdrowie mieliście wskazany nasz zakątek? A może to dla córki?

— Nie, to ja mam zalecone zamieszkiwanie w pobliżu jeziora. Moja Odetta ma się z łaski Boga jak najlepiej.

— Pani córeczce na imię Odetta? Śliczne imię. Muszę i ja państwu przedstawić moją córkę.

— Prosić panny Kamilli — zwróciła się do służącego, który właśnie wchodził do salonu.

Obeszło się jednak bez wezwania, bo w tej chwili dały się słyszeć w przedsionku głośne śmiechy, a wkrótce potem przez otwarte szeroko drzwi salonu wtargnęło młode towarzystwo w kostyumach tennisowych, składające się z zapowiadanej panny Kamilli, Pascala Combette i tego pana Langa, o którym wszyscy tak wiele mówili.

Panna Kamilla wzrostu wysokiego, podobnie jak jej matka, oczu żywych, miała postawę wdzięczną, a jakkolwiek liczyła już wedle skrupulatnej kroniki prowincyonalnej dwadzieścia siedem lat wieku, mimo tej dojrzałości i obejścia dosyć śmiałego, robiła od razu wrażenie przychylne.

Po ceremonjalnym ukłonie p. Kamilli, przedstawiono przybyłym obu mężczyzn z szczególnemi jakiemiś odznaczeniami dla tego Langa, który swoją zgrzybiałością przy trzydziestu latach wieku, cerą zwiędłą i rudym rzadkim włosem, starannie przylizanym na zżółkłej skórze czaszki, wywierał wrażenie bardzo ujemne.

Pascal Combette po wstępnych kilku wyrazach usunął się na ubocze, po pewnym jednak czasie zbliżył się do Roberta i zadał mu bez żadnych wstępów takie pytanie:

— Znałem niegdyś w departamencie Wyższej Marny rodzinę Bellevaux — może to byli krewni pana?

Na twarzy samotnika z Zacisza odbił się żywy rumieniec; wahał się chwilę, ale trzeba było dać jakąś odpowiedź.

— Pochodzę w istocie z okolic Langres, ale od bardzo dawna już tam nie mieszkam.

Zwięzłość tej odpowiedzi naprowadzać mogła na myśl, że zapytany nie ma ochoty przedłużać rozmowy, to też niewątpliwie wypadało dać jeszcze jakieś dodatkowe objaśnienie.

— Rodzina Bellevaux — mówił tedy Robert — jest liczna w tych stronach — czy łączą pana stosunki z którym z jej członków?

— Oh, nie! — zaprzeczył Pascal — pytałem dla tego jedynie, że mi to nazwisko pozostało w pamięci z epoki mego dzieciństwa. I ja także oddawna już opuściłem tę prowincyę.

— Jesteś pan jednym z wiernych tutejszej okolicy — zapytywał dla podtrzymania rozmowy Robert.

— Corocznie przepędzam tu sześć miesięcy letnich. Maluję, albo wdzieram się na góry, i dla tego znajdujesz mię pan w tym domu jako gościa. Młodzi Villardowie, brat i siostra są to niestrudzeni prawdziwie alpiniści, a przytem weseli towarzysze wycieczek. Dużo chodzimy razem i jesteśmy na usługi pańskie, jeśli zechcesz podzielać z nami tę rozrywkę.

— Oh nie — jestem niestety bardzo złym piechurem.

— Oto masz pan niezmordowanego górala w osobie tego młodego człowieka. Wszak prawda panie Lang — dodał, zwracając się do osoby stojącej najbliżej.

— Ależ tak mistrzu kochany, a nawet chciałem ci dziś zaproponować *match* pewien, którego przedmiotem będzie wejście na szczyt góry Węglowej.

Podczas, gdy obgadywano w dalszym ciągu warunki tego *match'a* Robert zbliżył się nieco do Łucyi, aby jej dać do zrozumienia spojrzeniem, iż czas zakończyć ceremonialne odwiedziny. Rozstano się niebawem w najlepszych obustronnych usposobieniach. Podczas, gdy gospodarstwo domu odprowadzali gości do bramy, zapytywał Langa Maurycy, jak mu się wydają nowi sąsiedzi.

— Pani Bellevaux—mówił ten ostatni—to jest sobie piękność zawodowa, wyrażając się z angielska.

— Mów po francuzku, jeśli chcesz, żeby cię rozumiano.

— Jeśli ci zależy na wyrażeniu ogólnie zrozumiałem, to ci powiem, że jest to kobieta w całem znaczeniu tego słowa powabna.

— A jej wiek? — pytał Villard, którego to wyraźnie obchodziło dosyć.

— Zaledwie trzydzieści lat...

— Dodaj dziesięć, a będziesz blizkim prawdy. Zresztą zapytaj się pana Combette — on ci powie jako specyalista.

— Powiem, że nie rachuje się lat kobietom pięknym — oto wszystko, zakonkludował Pascal.

— Brzydka nie jest — wtrąciła się w rozmowę w tem miejscu Kamilla, ale mnie mąż wydaje się o wiele lepiej. To gentleman prawdziwy.

— On? ten rycerz ponurego oblicza z jego oczami niespokojnemi, protestował intonacyą swego głosu Lang. Ależ to indywiduum jakieś lękające się, aby go nieodkryto — to człowiek obawiający się upadku w przepaść. Co mówisz na to Pascalu?

Pytany za całą odpowiedź ruszył ramionami mruknąwszy do siebie:

— Jak na takiego filistra spostrzeżenie nie jest ostatniem. Ale jeśli on w istocie jest synem tych Bellevaux, których ja znałem, to jaki może mieć interes na trzymanie w cieniu swojej osoby. Nie zwierzył jednak nikomu swoich spostrzeżeń, powiedziawszy tonem obojętnym.

— Jak się państwu naprzykrzy wycieranie sobie ząbków ludźmi, którzy tylko co odeszli, dokończymy naszej partyi tennisa — dobrze?

V.

— O czem myślisz?—pytała w ciągu drogi zadumanego Roberta jego towarzyszka. Wydajesz się stroskanym.

— Przeciwnie zupełnie; winszowałem sobie właśnie, żeśmy się już uwolnili od tego przymusu. Grzeczność oddana — wolno nam będzie odetchnąć nareszcie.

— Zapewne, że dobrzeby to było, ale wszak słyszałeś, że nam pani Villard zapowiadała swoje odwiedziny.

— Wielka rzecz! Odpowie się im przez służącego, że nas nie ma w domu — jeśli uwierzą, to dobrze, a jak nie uwierzą, to będą mieli wskazówkę, że jesteśmy ludzie dzicy i zostawią nas w spokoju.

W tej chwili usłyszeli świst statku przybijającego do przystani w Duingt, a Robert pełen otuchy odezwał się do Łucyi:

— Wiesz co, nudy tej wizyty obowiązkowej musimy sobie wynagrodzić jakoś. Jeśli skorzystamy z ostatniego parowca, dostaniemy się do Annecy, a z powrotem weźmiemy powóz i będziemy mogli wstąpić na pocztę, aby zabrać gazety i listy.

Łucya dla uniknięcia odbioru w Talloires korrespondencyi adresowanej do p. de la Bannerie, kazała wszystko odsyłać na *poste-restante* do Annecy, a że od przyjazdu do Zacisza nie odebrała żadnego listu, sposobność wydała się jej jedyną i pożądaną. Wsiedli

na statek w najlepszem usposobieniu umysłów, minęli szybko Saint-Joriez, Menthon, Veyriez, i ani się spostrzegli, kiedy im świstawka sygnałowa oznajmiła, że stanęli u celu podróży. Po wesołym podwieczorku zaimprowizowanym w sklepie pasztetnika, Łucya pobiegła, aby załatwić sprawunki w kilku sklepach i odebrać tę oczekiwaną pocztę; Robert udał się za wyszukaniem powozu. Można sobie wystawić jego zdumienie, gdy za powrotem ujrzał Łucyą, siedzącą na ławce przed biurem pocztowem i zagłębioną z rodzajem przerażenia w twarzy, w odebranym liście jakimś.

— Co ci jest—co się stało?—pytał pełen niepokoju.

— Umarł—słuchaj, on umarł—mówiła blada i pomięszana, podając mu pismo.

Robert, który lękał się ustawicznie jakiejś katastrofy, a spotkał się nagle z tą wiadomością, doświadczył uczucia prawdziwej ulgi. W liście tym notaryusz Łucyi donosił jej o śmierci męża w kilku zaledwie słowach; do wiadomości dołączony był akt zejścia, wydany przez kancelaryę Stanu Cywilnego w Chili, adresowany do ministeryum Spraw Zagranicznych. W rubrykowanym papierze stało zapisane, że francuz z pochodzenia nazwiskiem de la Bannerie zmarł w szpitalu przed datą 20 maja.

Konie zaszły w tej chwili właśnie.

W drodze Robert spojrzał w twarz kobiety towarzyszącej mu, aby sprawdzić, jak podziałała na nią odebrana wiadomość, i ze zdziwieniem dostrzegł, że miała wargi zaciśnięte kurczowo, a w jej oczach świeciły jeszcze łzy.

— Dla czego płaczesz? — zwrócił się do niej. Wszak ten człowiek, który ci tyle wyrządził złego, jest dla ciebie umarłym oddawna?

— Daruj mi, ale przyznasz sam, że są chwile, w których milkną gniewy i zawziętości ludzkie — w których pozostaje tylko litość i współczucie. Ja go widzę w tej chwili, jak kona na łóżku szpitalnem, on cudzoziemiec, opuszczony od wszystkich. Może myślał w tej godzinie o swojem dziecku pozostawionem w kraju, bo to była bądź co bądź jedyna istota, której on okazywał uczucie. A wreszcie, jakże chcesz, aby nie boleć na myśl o takim nędznym końcu ludzkiego życia.

Sciskając serdecznie jej rękę w swoich, mówił Robert.

— Pomyśl droga moja, że ta śmierć sama przez się kładzie kres naszemu dotychczasowemu stosunkowi, tak fałszywemu i tak pełnemu niebezpieczeństw. Od dzisiaj jesteś oswobodzoną, a za ośm miesięcy nazwę cię nareszcie moją żoną. Będzie nam odtąd wolno jawnie okazywać sobie przywiązanie, nie potrzebując każdochwilowo drżeć przed jakiemś nieprzyjaznem spotkaniem.

— Zawsze zapominasz o matce.

— Postaram się teraz energiczniej dać jej do zrozumienia, że postanowienie moje jest niezłomne, a myślę, że w obec tego ona ustąpi. W ogóle pamiętać powinnaś mimo współczucia dla zmarłego, że śmiercią swoją uwalnia on mnie i ciebie, a nadewszystko twoje dziecko. A chcąc wziąść jej rękę, przypadkowo dotknął ściskanego przez nią machinalnie jakiegoś jeszcze papieru.

— Ależ ty trzymasz list, którego nie otwarłaś dotąd.

— To prawda — odpowiedziała Łucya, rozdzierając kopertę. List był od przełożonej klasztoru, w którym ta przy wielu grzecznościach i manifestacyach macierzyńskiej czułości dla Odetty, z większą jednak niż dotąd stanowczością, podkreślała konieczność zabrania z początkiem letnich wakacyj, tego, jak się wyrażała, kochanego ślicznego dziewczątka. Krok stanowczy okazywał się tedy tym razem nieuniknionym.

— Oto właśnie nadchodzi chwila, której się lękam oddawna — mówiła ze drżeniem głosu Łucya, ale Robert snuć począł obraz wolnej od trosk przyszłości najbliższej, przedstawiał, że Odetta może śmiało przyjechać do Talloires, które się wkrótce wyludni z gości, że zimę przepędzą w Zaciszu, a gdy przyjdzie czas na powrót do domu, wszystko będzie załagodzone i usankcyonowane prawem.

— Cieszyć się możemy owszem — mówił tonem przekonania — udręczenia nasze skończyły się—horyzont się oczyszcza.

— Jak się ty optymistycznie patrzysz na położenie—szeptała z odcieniem niedowierzania w głosie Łucya! — Ale tym razem muszę i ja być lepszej myśli. Niech się dzieje wola nieba! Jadę zabrać Odettę.

Nazajutrz wysłała Łucya do przełożonej telegram, zawiadamiający ją o dniu swojego przybycia, a w tydzień potem niespełna wysiadała z powozu przed klasztorem sióstr Zmartwychwstanek. Odetta czekała tu na nią zupełnie przygotowana do wyjazdu. Wierna swojemu krewkiemu temperamentowi, rzuciła się matce z uniesieniem na szyję, a wypuściwszy ją po jakimś czasie z objęć, pociągnęła ku oknu, aby ją pożerać wzrokiem swoim rozmiłowanym.

— Ah, jaka ty zawsze piękna jesteś, mateczko! Ubóstwiam cię więcej, niż kiedykolwiek!

Pani Łucya z uśmiechem pobłażliwości przyjmowała te wybuchy uczuć, robiąc w myśli uwagi nad rozkwitającą pięknością córki. Nie mogło być nawet inaczej, bo Odetta, która dzisiaj właśnie zamieniła mundur pensyonarki na gustowny kostyum spacerowy, musiała się matce własnej przedstawić, jak świeżo z poczwarki wykluty motyl.

— A więc twoja przełożona miała słuszność—mówiła pani Łucya z łagodnym uśmiechem—jesteś nareszcie dorosłą panną.

— A tak—potwierdziła Odetta, nie krępując się obecnością siostry zakonnej w pokoju. — I dla tego tak jej właśnie pilno uwolnić się od mojej osoby. To też mateczko droga, skoro ja już pożegnałam moje przyjaciółki, spieszmy co rychlej z ceremonialnym pokłonem do Matki Maryi Anielskiej i dalej w drogę. Nareszcie i mnie też należy się pomówić z tobą bez kontroli.

Tymczasem nie dało się jej wyrwać tak prędko, jak pragnęła. Były sprawy konieczne do załatwienia, a w pierwszym rzędzie tualeta samą młodej panny wymagała uzupełnień i poprawek, tak, że i ten i następny dzień musiały te panie pozostać na miejscu. Ale kiedy nareszcie zamknięto za niemi drzwi wagonu, w którym na szczęście znalazły się same, Odetta rzuciła się na poduszki kanapy i zabrała się do swoich indagacyj w ten sposób.

— No i cóż, mateczko! Zadowolona jesteś z tego swego Zacisza? Co myśli o niem mój ojczym? Bardzo rada będę zobaczyć tego ojczyma.

— Cieszy go bardzo, że ci będzie mógł pokazać za przybyciem krainę uroczą prawdziwie, którą zamieszkujemy. Będzie nam tam wybornie wszystkim trojgu, bo zamierzamy trzymać się na uboczu, nie żyć z nikim.

— Z Talloires daleko do Annecy?

— Jedzie się statkiem małą godzinkę.

— Tem lepiej; muszą tam być przecież ludzie, będzie można porobić znajomości.

— Nie znamy nikogo w Annecy...

— Ale są przecież rodziny?

— Słyszałam o jednej—mówiła z niechęcią pani Łucya, w której plany nie wchodziły bynajmniej te budzące się światowe skłonności córki.

— Czy to ludzie jak się należy? — badała dalej Odetta.

— Tak, dosyć. Nie zawiązaliśmy dotąd z niemi znajomości. Tak nam dobrze samym...

— Ależ ja w sam czas przyjeżdżam, jak widzę. Was trzeba rozruszać koniecznie — zdziczelibyście niedługo do szczętu. Musi to jednak być prawdziwe mieszczaństwo, ci sąsiedzi wasi—czuję to.

— Nam się owszem wydali zbyt cywilizowanymi, a nadewszystko nadmiernie współczesnymi ludźmi.

— No, zobaczymy to na własne oczy — zakonkludowała Odetta tonem, który jej matce wiele dał do myślenia.

Resztę podróży odbyły bez przeszkód, każda, można powiedzieć, oddana myślom własnym, ale kiedy za zbliżeniem się do Annecy ujrzała Odetta majestatyczny łańcuch gór z ich uśnieżonymi wierzchołkami, rzuciła się matce na szyję z okrzykiem:

— Góry, góry! Na myśl samą, że ja się tam wdzierać będę, doświadczam upojenia, o jakiem pojęcia dotąd nie miałam.

VI.

I rzeczywiście, nie zwlekając dłużej, na drugi zaraz dzień po przybyciu do Zacisza, wybrała się Odetta z Robertem na przełęcze grupy Saint-Germain. Zwinna w swoim kostiumie, umyślnie na ten cel sporządzonym, w kapeluszu słomkowym, wyglądała prześlicznie. Oczy jej gorzały zapałem, a co chwila zatrzymywała Roberta pytaniami.

— Dojdziemy aż tam? — nieprawda? — jak gdyby ją coś pędziło ku tym szczytom, a przerażało przypuszczenie samo powrotu od połowy wysokości. Przyszło jednak i do tego po kilku godzinach drogi. Robert stanął, a ocierając uznojone czoło odezwał się:

(Dalszy ciąg nastąpi)

TOWARZYSTWO AKCYJNE

WŁ. GOSTYŃSKI i S-KA



Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

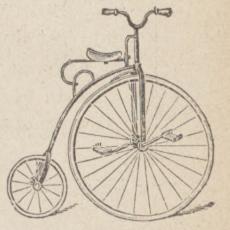
WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.

POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne**; Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne**: mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna, drzwi, bramy, kraty, balkony**, schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe**: stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne**, drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN i ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 62

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81 w Moskwie: Rożdiestwienska dom Tretjakowych.



Filje: w Łodzi, Piotrkowska 81; w Moskwie, Rożdiestwienska dom Tretjakowych; w Kijowie, I. Kühmaer, Fabryka i Skład Mebli, dom własny; Petersburg, Newski Prospekt N-r 42, dom Armiańskiej cerkwi, vis a vis Gościnnego dworu.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs** kop. 1.20, **II-gi kurs** kop. 3.20— **Gramatyka Polsko - Francuska,** kop. 1.20, lub całe dzieło w **47**-iu zeszytach, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18).

Wypisy Francuskie (Morceaux Choisis) ze słowniczkiem w 4 językach, zeszyty po 15 k. (pocztą 18 k.)

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski. Kurs Niższy 14 zeszytów, **Kurs Wyższy** 18 zeszytów po kop. 10 (pocztą kop. 13). Na pocztę dopłata do każdego rubla po 25 k.

Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-y zeszyt **„Samouczka" Francuskiego i Ruskiego.** Skład główny u autora **(Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 87

SKŁAD FUTER

Karola Rothera,

egzystujący od lat 30-tu,

z powodu znacznego podwyższenia komornego, został przeniesiony z rogu Bielańskiej i Senatorskiej 144

na **Nowo-Senatorską Nr. 9.**



Przeko

nać się choć raz jeden najuprzejmiej proszę, iż paczka funtowa (tylko kop. 20) „Bielidła" mego, zawsze ze znakiem jak uboczny, oraz z moim podpisem, starczy conajmniej za kilka funtów podrabianego bielidła. Sprzedaż w składach aptecznych, w porządniejszych składach mydła i t. d. B. Landy, Warszawa, ul. Leszno 27. 145

Pracownia haftów maszynowych

przyjmuje zamówienia na hafty, wyszycia i aplikacye: jedwabiem, sutaszem, złotem i srebrem, w zastosowaniu do sukien, okryć, halek i t. p.

Ceny przystępne.

Hoża № 8 m. 16. 161

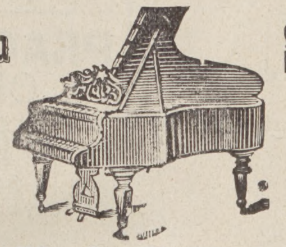
Władysław Popiel

Jubiler. Egzystuje od 1858 r.

Warszawa, Senatorska Nr. 6

Poleca wielki wybór biżuteryi gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-20

Największe w Kraju Składy Fortepianów,



Pianin i Melodykonów

HERMAN i GROSSMAN

WARSZAWA, Mazowiecka № 16.

St.-PETERSBURG, MOSKWA, LUBLIN.

WYNAJEM. — Sprzedaż na rozpłaty miesięczne począwszy od 25 rubli.

Illustrowane katalogi na żądanie franco i gratis. 59

Pierwsza specyalna fabryka

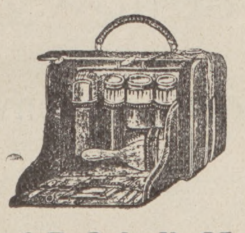
wyrobów skórzano-galanteryjnych i przyborów podróżnych

B-ci NEUMAN, w Warszawie 17

5. Bielańska 5.

Poleca wielki wybór: Waliz, toreb, nesseserów podróżnych, pudełek do kapeluszy skórzanych i drewnianych, kuferki, ramki, albumy, pledy, paski, portfele, pugilaresy, portmonetki, portcygary po cenach hurtowych.

tylko Bielańska 5



od R. 3 do R. 25.

Przyjmuje się zamówienia na pojedyńcze sztuki.

Wysyła się za zaliczeniem.



od R. 2,50 do R. 20.

tylko Bielańska 5

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY

MAURYCEGO ERLICH

ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami za wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. **Chmielna 32.** 89

Sensacyjna Nowość dla Pań!!



Nowo-wynaleziony patentowany elastyczny

gorset Pabsta

nie gumowy,

poddający się każdemu ruchowi bez uciskania ciała, a mimo to nadający figurze piękne kształty, trwały i nader swobodny w noszeniu, słowem prawdziwe dobrodziejstwo dla dbających o swe zdrowie pań,

poleca FIRMA

„WYGODA"

Marszałkowska Nr 118, 1-sze piętro

Cena stała rub. 7 kop. 50.

Zlecenia zamiejscowe wykonywamy bezzwłocznie za zaliczeniem pocztowem. Do obstalunku należy dołączyć obwód stanu (na sukni) lub rozmiar talii jednej połowy używanego gorsetu.

Wyłączna sprzedaż na całą Rosyę i Królestwo Polskie. 85

Adres dla listów: „WYGODA" WARSZAWA 275.

MAGAZYN MEBLI

ANTONIEGO STRÓMIŁO

Bracka Nr. 25.

Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka, Umywalnie, Bieliźniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych, oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.

CENY NIZKIE. 1026-52-41

F. Pierzchalski

MAZOWIECKA 8

SKŁAD SZKŁA

krajowego i zagranicznego

WYBÓR DUŻY.

CENY PRZYSTĘPNE.

Własna Malarnia Porcelany.

Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.

123

Nagrodzona na wystawach w Niżnim Nowgorodzie i Kijowie

FABRYKA

portyer, kap, serwet pluszowych i wełnianych.

A. SILBERSZTEJNA

22 Leszno 22

przyjmuje wszelkie wyszycia na różnych materyałach 112

RĘKAWICZKI

tanio 108

mocno szyte poleca pracownia

HENRYKA KOWALKIEWICZA

Bracka 27 sklep przy ul. Chmielnej

! Obstalunki na garnitury Jelenie !

Egzystujący od 19-tu lat

Zakład Tapicersko-Dekoracyjny Adolfa Okoń

№ 10 ulica Mazowiecka № 10

otworzył przy takowym **MAGAZYN MEBLI GOTOWYCH** w różnych stylach, jako to: salonowych, buduarowych, stołowych, gabinetowych i sypialnych. Urządza całe apartamenta nowe i przerabia stare. **Ceny nader umiarkowane.** 142

SZKOŁA KROJU

STEFANII KUCZYŃSKIEJ

połączona ze znaną pracownią ubiorów damskich „Pelagji"

Żórawia Nr. 1,

za pomocą przystępnych w 4-ch językach wykładów wyucza w bardzo krótkim czasie kroju i szycia. Dla uczenic z prowincyi znajduje się na miejscu pomieszczenie z fortepianem, ze staranną opieką domową. 128

„Ognisko Domowe“

Kalendarz popularny ilustrowany na rok 1900.

Wydawnictwa rok czwarty. Cena **tylko kop. 15.**

Już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Każdy nabywca tego Kalendarza ma prawo otrzymać w Księgarni **A. G. Dubowskiego** w Warszawie, Chmielna 30.

DZIESIĘĆ TOMÓW książek **za Rub. 1 kop. 50,**

z przesyłką **ZA DWA RUBLE.**

Cena katalogowa powyższych książek, przeważnie bardzo ciekawych powieści, wynosi około 7 RUBLI. 170

Klemens Junusza

(K. Szaniawski)

Z pola i z bruku . . . . . kop. 80

Wnuczek i inne nowelle i obrazki . . . . . . „ 80

Ojciec Prokop, karta ze wspomnień . . . . . . „ 20

Do nabycia

we wszystkich księgarniach

oraz w Administracyi

„Tygodnika Mód i Powieści“

KAUCIONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE

profesorowej CLAVEL

w Warszawie, Warecka 10

poleca:

Nauczycieli, Nauczycielki, Wychowawczynie i Bony.

Korespondencye z Francyą, Szwajcaryą, Niemcami i Anglią. 139

W Zakładzie Naukowym-Wychowawczym VI klas. żeńskim z klasą wstępną

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 2, I-sze piętro

(wprost Kopernika)

Zapis i egzamin nowych uczenic odbywa się codziennie od 9-ej do 2-ej. 74

PRACOWNIA SUKIEN

i Okryć Damskich

Zofii Łęckiej

ŻÓRAWIA № 45, m. 2.

Wykonywa wszelkie roboty po bardzo nizkich cenach.

Nr. 43

Nowy-Świat

Józef LUKREC.

RĘKAWICZKI

własnego wyrobu,

wyborowej skóry, mocno szyte.

Rękawiczki	damskie 3 guziki z wysz., para .	—.65
	4 guziki para .	—.85
Rękawiczki	dziecinne, 3 guz. z wysz. .	—.50
Rękawiczki	damskie 3 spinki modne .	
„	kolor, białe i jasne .	1.
Rękawiczki	kozłowe 3 g. para . . .	1—
	kozłowe 4 g. para .	1.20
Rękawiczki	męskie kolor. spin. i wysz. .	1.—
„	męskie stebnowane nadzw. trwałe, para	1.20
„	Angielskie. para, . .	1.40
Rękawiczki	zamszowe, jelonkowe, duńskie .	
	męskie, damskie i dziecinne	
Rękawiczki	niciane we wszystkich gatunkach.	

KRAWATY w wielkim wyborze.

Ceny stałe—nizkie.

Nowy-Świat

Nr. 43

gdzie Teatr Wodewil 117

SKŁAD MEBLI LUD. PRASAŁEK. poleca w wielkim wyborze meble stylowe oraz kompletne urządzenia **Salonów, Jadalni, Sypialni** i **Buduarów**. Ceny przystepne. Ulica Bracka 9 róg Nowogrodzkiej. 20

A. MAKOWSKI i E. RAUER



Pierwsza w kraju fabryka

Wieńców, Kwiatów i Roślin

metalowych

Bukiety na ołtarze.

Girlandy z bluszczu, winogrona, konwalij i niezapominajki.

Krzaki róż w doniczkach. 120

PALMY, KAKTUSY, FIKUSY i t. p.

SKŁAD FABRYCZNY: **Senatorska 22, na piętrze.** | FABRYKA: **Aleja Jerozolimska 129.**

Zakład Ogrodniczy

W. GARNUSZEWSKIEGO 154

Krakowskie-Przedm. N-r 5

poleca wszelkie wyroby w zakres specyalności wchodzące.

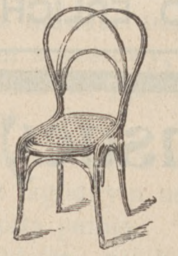
Ogrody własne w MOKOTOWIE. Kolonia N-r 6/C.

M-ME WANDA

MAGAZYN BŁAWATNY.

Poleca świeże hafty i koronki, przyjmuje wyprawy całkowite ze swoich i powierzonych materyałów.

Erywańska 16. 115



„FENIKS“



NOWO-OTWORZONY

w Warszawie 118

ZAKŁAD REPARACYJNY i KONSERWACYA MEBLI

przy ul. Chłodnej Nr. 46. Telefon Nr. 663.

Przyjmuje do naprawy i odświeżania wszelkie meble od najskromniejszych do najwykwintniejszych oraz **meble gięte.**

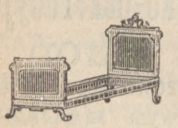
Sumienne, szybkie i tanie wykonywanie zleceń, daje rękojmię, że Zakład zadowolni najwybredniejsze nawet wymagania Szanownej Klijenteli.

Meble odnowione w Zakładzie firmy **„Feniks“** niczem nie różnią się od zupełnie nowych. Nadto, Zakład podejmuje się za bardzo przystępną cenę **konserwacyi** mebli, tak w instytucyach rządowych i publicznych, jako też w hotelach, cukierniach, restauracyach, sklepach i mieszkaniach prywatnych.

Tamże wynajem z dostawą stołów oraz krzeseł na rauty, bale, wesela i wszelkie zebrania.

Telefon № 663.

Władysław Benzef.



ŁÓŻKA, WANNY, UMYWALNIE,



Naczynia kuchenne i gospodarcze

J. ZABOKRZECKI & S-ka

Plac Teatralny obok Ratusza.

Nowo-Otworzony

Skład Materyałów Aptecznych

I. Tałasiewicza,

№ 51. Marszałkowska № 51.

Poleca wszelkie towary w zakres składu wchodzące w wyborowym gatunku, po cenach umiarkowanych. 136

Dla kaszlących i osłabionych Ekstrakt i Karmelki

LELIWA

W składach aptecznych i Aptekach. 175

Nowo-otworzony Sklep Ogrodniczy

„VIOLETTE“ 163

Erywańska 16, wprost Magazynu Hersego, 2-gi dom od Marszałkowskiej.